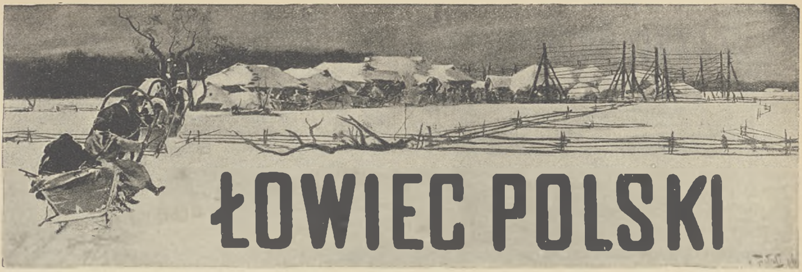


ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 120

№ 6. | Warszawa, 3 (16) marca 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

PSY NAGRODZONE.



„M a g."

(Patrz art. w n-rze 5-ym na str. 75).

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

Hodowla. — Sztuczne karmienie. — Remizy. — Obliczanie zajęcy i ustanowienie odstrzału (etatu). — Sztuczne zaprowadzenie zajęcy. — Ogrody zajęcze.

Każdy, kto posiada 150 morgów gruntu w jednym obrębie, może osobiście wykonywać prawo polowania, gdy drogi lub rzeki przez grunta przechodzą, nie dzielą własności co do prawa polowania.

I dopiero w takim wypadku, gdy droga lub rzeka jest tylko łącznikiem własności, właściciel nie ma osobistego prawa polowania, chociażby łącznie w obydwóch kawałkach było więcej, aniżeli wymagane 150 morgów. Wobec tego, już sama natura wpływa ujemnie na hodowlę wogóle, terytorya łowieckie są bowiem zamałe, aby w nich bez pomocy sąsiadów prawidłową gospodarkę zaprowadzić można.

Właściciel małych posiadłości stara się zwykle, aby jaknajwięcej zabił, jego sąsiad podobnie; więc zajęcy, chociaż nie jest coraz mniej, nie ma ich jednak tyle, ileby przy prawidłowem wykonaniu polowania być mogło. Samo przeto wykonanie polowania wpływa bardzo ujemnie lub dodatnio na zwierzostan.

Tak np. wczesne polowania w jesieni wpływają ujemnie na hodowlę, przeważnie bowiem giną samice, które w tym czasie często jeszcze kotne, są mniej ostrożne. Ustawiczne chodzenie z psami, duża ilość myśliwych na częstych polowaniach, niepokoi i rozprasza zwierzynę.

Na hodowlę wpływa również bardzo ujemnie polowanie z chartami i ogarami.

Na powiększenie zwierzostanu najlepiej wpływa dobrze zorganizowana ochrona.

A dobra ochrona polega na:
1) Ściganiu kłusownictwa
2) Tępieniu drapieżników i na
3) Hodowli właściwej.

Pierwszy punkt, t. j. ściganie kłusownictwa, polega na bezwarunkowem niedozwoleniu posiadania broni przez ludzi, niemających prawa polowania; na ścisłej kontroli handlu i konsumcyi zwierzyny—a szczególniej na pilnem niszczeniu zastawianych wnyków. Należy również zwrócić baczną uwagę na pastuchów, gdyż oni, tak w polu, jak i w lasach przez wyłapywanie młodych mogą wiele szkody wyrządzić.

Co do drugiego punktu, to już z poprzedniego rozdziału wiemy, które zwierzęta są dla zajęcy niebezpieczne, pozostaje więc tylko dodać, że za tępienie szkodników, należy służbie ustanowić pewne wynagrodzenie. Następująca tabliczka podaje wynagrodzenie za tępienie drapieżników w stosunku do ich szkodliwości.

Dobrze jest, ogrócz wynagrodzenia za ubitą szkodliwą zwierzynę (które pobiera zazwyczaj służba myśliwska), ustanowić dla służby polnej i leśnej tantyemę od ubitej zwierzyny łownej. Jest to bodziec, który dodatnio wpłynąć może na rezultat, zwłaszcza większych polowań, urządzanych raz w roku, a niezaprzeczenie wpływa bardzo dodatnio wogóle na hodowlę.

Tablica normalna wynagrodzenia za ubitą zwierzynę drapieżną i łowną:

SZKODLIWA	Strzałowe R.	Strzałowe k.	UŻYTECZNA	Strzałowe R.	Strzałowe k.
Lis	1	—	Jeleń	1	--
Kuna	—	75	Dzik	—	75
Borsuk	—	60	Rogacz	—	50
Tchórz	—	50	Zając	—	05
Łaska	—	30	Kuropatwa i t. p. .	—	05
Jastrząb	—	25			
Koty i psy . . .	—	20			
Kruk	—	10			
Wrona, sroka . .	—	05			

GUY DE MAUPASSANT

MIŁOŚĆ.

Trzy kartki z pamiętnika myśliwego.

... Niedawno czytałem między innemi wypadkami, opisanemi w gazetach, o zabójstwie z miłości. *On* zabił *ją* naprzód, a potem zabił siebie. Miłość doprowadziła go do tego. Cóż jednak obchodzi mnie ten kochanek i ta kochanka? Naprawdę, to ich miłość sama przez się nic mnie nie obchodzi. Wypadek ów zaciekawił mnie nie dlatego, że obudził we mnie litość, nie dlatego, iż mnie wzruszył serdecznie, ani z powodu, że wywołał myśli posępne, lecz z tego jedynie względu, że przypomniał mi pewne zdarzenie z lat młodych, zdarzenie myśliwskie szczególnego rodzaju, w którem widziałem miłość męczeńską, jakby szczytne poświęcenie pierwszych męczenników, oddających życie dla idei ubóstwianej.

Mam myśli i pragnienia człowieka pierwotnego, ale one zostały złagodzone i osłabione przez etykę i dążenia człowieka ucywilizowanego. Lubię myślistwo całą siłą mej namiętności, a na widok zwierzęcia, broczącego we krwi, albo na widok kropli krwawych na piórach ptaka ubitego, lub na mej ręce, dusza mnie drży i omal nie mdleję.

Pewnego razu, w dzień jesienny, gdy zimno panowało nader dotkliwe, zaprosił mnie do siebie krewny mój, Karol de Rovil, proponując udanie się z nim nad ranem na polowanie na dzikie gęsi, które gnieździły się w pobliżu bagniska.

Krewny mój był człowiekiem czterdziestoletnim, wesoły, tęgi, brodaty. Był to wieśniak, szlachcic, trochę gburowaty, ale dobroduszny, odznaczał się przytem pewnym dowcipem, który czyni przeciętnego człowieka bardzo miłym w towarzystwie. Mieszkał w pałacu we własnej posiadłości, w dolinie wybrzeża morskiego, obok szumiącego potoku.

Wzgórza z prawej i lewej strony były porosłe lasami odwiecznemi, które stanowiły istny zabytek czasów odległych. W lasach tych rosły drzewa roskoszne, śród których gnieździły się ptaki łowne wszelkich gatunków, znajdujących się w całym tym okręgu francuskim. Niekiedy zjawiały się przypadkowo także orły i ptaki wędrowne, które jeszcze nigdy nie zawitały do krain, bardziej zaludnionych. Ptaki te w swej tułaczce odpoczywały prawie zawsze na gałęziach tych drzew prastarych, jakby poznawszy w nich zabytki lasów odwiecznych, które pozostały na tem miejscu, by służyć im za schronisko podczas nielicznych godzin nocnych.

W dolinie rozłożyły się pastwiska obszerne, otoczone płotami i nawodnione kanałami i śluzami. Zdala od pastwisk płynął strumień, który rozlewał się po obszernem bagnisku. Było ono jednym z najcudniej-

Powyższą tablicę nazwałem normalną, w niej bowiem podałem cyfrę stosunkową, według której można normować wynagrodzenie stosownie do okoliczności. Znane mi są jednak majątki, w których np. za jelenia płacą 5 rubli, w innych za dzika lub rogacza 3 ruble i t. d.

Wreszcie co do hodowli zaznaczyć muszę, że polega ona na dostarczeniu zwierzynie pożywienia przez cały rok, a szczególnie w zimie podczas gołoledzi, kiedy odgrzebywanie pożywienia z pod śniegu jest utrudnione lub niemożliwe. Wprawdzie zając jest na głód wytrzymały i w najcięższe zimy umie sobie radzić, ponieważ jednak głód go w każdym razie wycieńcza, staje się on przeto dość często pastwą drapieżników, lub na wiosnę ulega łatwiej chorobom, które go nieraz dziesiątkują.

Dawniej, kiedy między polami było znacznie więcej naturalnych remiz, krzaków, zarośli lub chociażby miejsc, porosłych sitowiem, trzciną, trawą — jakkolwiek takie miejsca nie są dla niego zbyt pomyślne, łatwiej było jednak zającowi znaleźć schronienie.

W dzisiejszych czasach, kiedy i w naszym kraju rolnictwo podąża za przykładami zachodu i stosownie do tego stara się usuwać wszelkie nieużyteczne zarośla, mokradła osuszać, wogóle jaknajwiększe przestrzenie zajmować pod uprawę, nastały gorsze czasy dla zajęcy. Zwłaszcza wczesne lęgi narażone są na niebezpieczeństwo wtedy, kiedy zboża są jeszcze za małe, aby mogły im dać dostateczne schronienie przeciw surowym wpływom atmosferycznym i przeciw wszelkiego rodzaju drapieżnikom.

(*D. c. n.*).

Polowanie na słonki na ciągu.

W literaturze naszej łowiecko-myśliwskiej bardzo niewiele znajdziemy wiadomości o tym, tak zagadkowym, a dla myśliwych tak ponętnym ptaku. Najlepszą monografię słonki czytałem w „Łowcu" galicyjskim skreśloną niegdyś piórem znakomitego myśliwego—badacza, hr. Kazimierza Wójcickiego.

Nie wyczytałem tam jednak tego, o czem zamyślam tu napisać, a mianowicie, czy strzelanie słonek na ciągu wiosennym jest szkodliwem w dalszem ich rozmnażaniu się?

W Niemczech z wielkim zapałem uprawiają ten rodzaj polowania, a jeszcze w niedalekiej przeszłości u książąt Hohenzollernów, Wittgensteinów, Plessów, o zjawieniu się pierwszej słonki na ciągu wiosennym, telegraficznie raportować musiano, a szczęśliwiec, który pierwszą słonkę zabił, wynagrodzony był grubem strzałowem, bo aż 10-ciu talarami.

Będąc na praktyce leśnej w majątkach tych dygnitarzy, czytywałem z przyjemnością zapiski starych myśliwych, dotyczące ciągu słonek na wiosnę. Stary myśliwy, Neugebauer, mój mentor, miał w swym notatniku 225 słonek wykazanych, które w różnych miejscowościach zabił. Zapiski te okazywały wielką sumienność, bo datę i godzinę zabicia i wszelkie okoliczności, dotyczące miejsca i stanu powietrza. Mentor mój wytłómaczył mi, że strzelając do słonek na ciągu wiosennym, nie czynimy im w dalszem ich rozmnażaniu się najmniejszej krzywdy, bo zabijamy przeważnie samczyki, i to w stosunku 9 do 1, t. j. gdy zabijamy 10 słonek, to napewno mieć będziemy 9 samczyków a jedną samiczkę. Samiczki są gnuśne, ociężałe i unikają towarzystwa samczyków, które je niepokoją swą natarczywością uczuć wiosennych, podobnie, jak kaczory—kaczki. Samczyk, ciągnąc, wabi towarzyszki swym chrapliwym głosem i pobudza je do wspólnej, wiosennej zabawy. Częstokroć też pobudzona samiczka leci, jak strzała, szukając głosu swego ulubieńca, a znalazłszy go, pobuja z nim w powietrzu, lecz wkrótce zapada w krzakach, i tu na ziemi odbywają się gody weselne. Jeżeli dwie słonki razem ciągną, to samczyk zawsze w tyle, i do niego strzelać należy. Samiczka jest o wiele większą od samczyka; jest inaczej upierzona, pióra, pokrywające piersi, są o wiele bielsze, na plecach bledsze, a na skrzydełkach z zwierzchniej strony ma dość znaczne białe punkty; forma ujścia odchodowego stanowczo różni się u samiczki od samczyka. Rzecz łatwa do sprawdzenia na zabitych egzemplarzach.

Tak więc bez najmniejszego skrupułu, strzelajmy na ciągu wiosennym, jakeśmy dotychczas strzelali, a nie uczynimy im żadnej krzywdy w dalszem ich rozmnażaniu się; twierdziłbym, że przeciwnie, odbi-

---

szych rewirów myśliwskich w tych stronach. Krewny mój dbał też starannie o to bagnisko i uprawiał je troskliwie, jak ogród. Pośród licznych gąszczów, które je pokryły i tem samem ożywiały i nadały mu ruch i urozmaicenie, — wytknięto wązkie przesmyki dla łódek. Przepływające stateczki, kierowane wiosłami w ciszy na martwej wodzie, poruszały lekko sitowie; ryby skrywały się szybko między trawami, a dzikie kury z czarnemi, czubatemi głowami, poczęły prędko zanurzać się w wodzie.

Lubię namiętnie wodę. Lubię morze potężne, szerokie, poruszające się dumnie, niezwyciężone; lubię rzeki, o wiele łagodniejsze, choć takie bystre, szybkie, rwące; najwięcej jednak lubię bagniska, w których roją się zwierzęta błotne. Bagna stanowią na ziemi świat cały, świat zupełnie odrębny. Mają życie odmienne, stałych mieszkańców, przejeżdżających podróżnych i wracających, odgłosy, szmery i dźwięki tajemnicze. Nic na świecie nie jest bardziej, niż bagno, niespokojne, burzliwe, a niekiedy także przerażające. Skąd się bierze ta groza, którą wywołują owe doliny, wodą pokryte? Czy przyczyną jest szemranie sitowia; istoty dziwne, na niem przebywające; cisza głęboka, panująca tam w nocy spokojnej, a może opary, dziwnego kształtu, otulające gąszcze, jakby całun śmiertelny? Azali lęk pochodzi z tego drżenia nieznacznego, unoszącego się nad bagnami, które jest tak lekkie, łagodne, ale niekiedy groźniejsze od huku armat ludzkich i grzmotu pioru-nu niebieskiego? Czy też obawa ta leży we wszystkich tych zjawiskach, wskutek których bagna wydają nam się krainami sennemi, krainami strasznemi, kryjącemi w sobie sekret utajony i ogromnie niebezpieczny?

Nie! Zupełnie co innego ujawnia się tutaj. Pośród oparów bagniskowych mętnych i gęstych, kryje się inna tajemnica, głębsza i wznioślejsza. Być może iż to jest tajemnica samego stworzenia! Albowiem gdzie zadrżało, poruszyło się i ujawniło nasienie pierwszego życia, jeśli nie w wodach milczących a błotnistych, jeśli nie pośród ciężkiej wilgoci ziemi, ogrzanej ciepłem słońca?

Przyjechałem do mego krewnego wieczorem. Mróz był tak wielki, że kamienie pękały po drodze.

Wieczerzę zjedliśmy w wielkim salonie, którego półki z fachami, ściany i sufit pokryte były wypchanemi ptakami, pełnemi słomy. Wisiały one przybite skrzydłami, lub stały na gałęziach, umocowane gwoździami. Pośród tych okazów były młode sokoły, czaple, sowy, kozodoje, myszołowy, jerzyki i sępy. Przy kolacyi krewny mój, który nosił kurtkę ze skóry fokowej, sam podobny do egzotycznego zwierzęcia krain lodowatych,—opowiada mi szczegółowo o przygotowaniach, jakie poczynił dla tej wyprawy nocnej.

(*Dok. nast.*).

jając nadmierną ilość samczyków, które pomiędzy sobą rywalizując, tylko przeszkadzają w zapłodnianiu samiczek, czynimy im wielką przysługę w rozmnażaniu się. Samczyki przy nasiadywaniu gniazd przez samiczki, w niczem ich nie zastępują, ani pomagają. Inaczej się rzecz przedstawia, gdy strzelamy do slonek przed psem na wiosnę. Tu zabijamy przeważnie samiczki, bo wskutek swej ociężałości, gnuśności, znakomicie dotrzymują, podczas gdy samczyki są ruchliwsze, niespokojne i nie dotrzymują. Pewnego razu, mając czynność w lesie i przechodząc przez las, w którym było dużo halizn i miejscami tylko krzaki jalowców, natrafiałem dość gęsto na słonki, z których też sześć zabiłem. Tu przekonałem się, że z tychże słonek były aż cztery samiczki, a dwa tylko samczyki. Ostatnia, którą zabiłem, zbrzydziła mi raz na zawsze buszówkę na słonki na wiosnę, bo gdy spadała na ziemię po strzale, jeszcze w powietrzu zniosła jajko. Z praktyki mojej wyniosłem to doświadczenie, że na ciągu wiosennym można strzelać do słonek, nie czyniąc im w dalszym ich rozmnażaniu się żadnej szkody, bo zabijamy jedynie prawie samczyki, a strzelania przed psem, buszowania wiosną na słonki wystrzegać się powinniśmy.

Oby moich powyższych kilka słów pobudziło myśliwych do badań, do zapisywania wszelkich spostrzeżeń, dotyczących wiosennego ciągu słonek, i ogłaszania ich w naszym ulubionym „Łowcu Polskim“, a mniemam, że wyświetliłoby się tym sposobem dużo, dotychczas w tym względzie niejasnych i niepewnych rzeczy.

Jak lubianem było polowanie na ciągu slonek na wiosnę, już w dawniejszych czasach u nas, przytoczę tu na zakończenie kilka zwrotek z pieśni „Polowanie na słonki“, napisanej przez B. hr. Kicińskiego.

Naciągnij kurek, kolbę weź do boku,
Przejrzyj widnokrąg. Łaknącemu oku
Nic się nie zjawia, wszystko jeszcze głucho—
A wtem uderza myśliwego ucho
Znany dźwięk, który tak mu słuchać miło,
Jakby to brzmienie głosem lubej było:
Słonka to ciągnie z dalekiego boru
Wolna od trwogi, jakby cień wieczoru.

W. Szostak.

Kilka słów w sprawie pointerów.

Sprawozdanie p. Sztolcmana z ostatniej wystawy psów w Warszawie, w jednym z numerów zeszłorocznych niniejszego pisma sklania mnie do następujących uwag.

Ze zdziwieniem dowiaduję się ze wspomnianego sprawozdania, że pointery nie miały wcale przedstawicieli na ostatniej wystawie w Warszawie i że rasa ta wogóle w Królestwie zdaje się nie mieć zwolenników, pomimo że, jak słusznie p. Sztolcman podnosi, rasa ta w warunkach naszych powinnaby oddawać wielkie usługi. Zainteresowanie się słabe tą rasą tłómaczy może też fakt, że osobniki, wystawione na zeszłorocznej wystawie, sądząc z podobizn, zamieszczonych w zeszłym roczniku niniejszego pisma, bynajmniej nie czynią zaszczytu tej rasie. Poluję od dłuższego czasu z pointerami i poznawszy stan ich hodowli w Anglii, pozwolę sobie w niniejszej notatce zaagitować na ich korzyść.

Nie ulega wątpliwości, że pointery wogóle straciły na opinii nietylko w oczach myśliwych kontynentu, ale także w samej Anglii. Przyczyna tego tkwi w tem, że przez nierozsądne krzyżowanie z innemi rasami popsuto do pewnego stopnia pointera. Pointer nowoczesny angielski pochodzi, jak wiadomo, od pointera hiszpańskiego, rasy prawdopodobnie zaginionej.

Pies hiszpański był stworzeniem naogół zbyt powolnem i ociężałem i nie mógł czynić zadość wymaganiom, szczególniej w remizach, słabo obsadzonych. Przez domieszkę krwi „Fox-hound'a“ starano się ociężałość tę zmniejszyć i osiągnięto rzeczywiście zamierzony cel, otrzymano psa z głównemi cechami charakterystycznemi wyżła hiszpańskiego, z wiatrem górnym, doskonałym, z niemal kataleptycznym „pointem“ po otrzymaniu wiatru zwierzyny, a przytem z wielkiem „pace“ i wytrzymałością.

Kilka generacyj tego nowoczesnego pointera nabyte te własności zachowało, ale, jak można było przewidzieć, domieszka krwi „fox-hound'a“, psa o zadaniach całkiem odmiennych od wyżła, musiała z biegiem czasu jednak się uwydatnić atawistycznie w niemiłej postaci, szczególniej w tych szczepach pointerów, w których występuje zbyt wielka domieszka obcej krwi i gdzie przy wytwarzaniu ich postępowano wogóle niedość oględnie. Następstwem tego była degeneracya pointera.

Otrzymano psy ze zbyt wielkim temperamentem, z wiatrem dolnym, trudne do układania, „flyers“ w całem znaczeniu tego słowa, które gotowe były pomimo znakomitego nosa, rozbić każde stado kuropatw, pędzić za każdym zającem, jak oszalałe. Okoliczność ta naturalnie zrażała do pointerów wogóle, szczególniej jeszcze wobec tego, że hodowla setterów robiła olbrzymie postępy, psów, które już dzięki zewnętrznej ich stronie, szczególniej długiemu uwłosieniu, stawały się dla Anglika, puszczającego w zapomnienie polowanie na kuropatwy (które ze względu na wciąż postępujące rozdrobnienie własności ziemskiej w Anglii właściwej upadło) i szukającego sportu na „moorach“ szkockich na pardwy, więcej odpowiedniemi.

Obok tych wyrzutków z dawniej klasycznego rodu pointerów pozostały na szczęście jeszcze gdzieniegdzie psy, którym nie można było nic zarzucić i które, zdaje się, są w stanie dawne dobre imię pointerów uratować. Zewnętrznie różnią się one mało od owych wyklętych, ale znawca pozna je od razu, chociażby tylko po pierwszych skokach, po spuszczeniu ze smyczy. Pointer zdegenerowany w powyższem znaczeniu, najczęściej nie posiada jednej cechy charakterystycznej starego psa hiszpańskiego, mianowicie podobnie jak fox-hound czystej wody nie posiada tego, co Anglicy oznaczają słowy „tail-action“, nie markują wielkiej swej gorliwości w szukaniu rytmicznemi ruchami ogona, które u prototypu starego były do tego stopnia gwałtowne, że w celu zaoszczędzenia psom ciągłego krwawienia ogona, spowodowały obcinanie im tegoż w części. Pointery, które odegrają, a w części już odegrały rolę regeneratorów, o których wspominałem, są to pointery czarne, zachowane w Szkocyi i północnej Anglii. Kinolodzy angielscy zaliczają te psy do całkiem odmiennego szczepu, wytworzonego prawdopodobnie także z psa hiszpańskiego, ale z domieszką krwi i innej, niż poprzednio wspomniana odmiana. Może być, że wchodziły tu czynniki analogiczne do tych, które spowodowały wytworzenie setterów ze spanielów; przypuszczenie, za którem przemawia okoliczność, że pointery czarne odznaczają się trudno dającym się określić chodem kołyszącym na podobieństwo setterów i że przy wystawianiu zwierzyny wyciągają się, podobnie jak wiele osobników ostatnich, brzuchem niemal dotykając ziemi. Pointery te czarne naogół są wyżłami bardzo dobremi, szukają znakomicie, szybko, wytrwale, inteligentnie, nos posiadają doskonały, tresować się dają łatwo. Stronę ujemną ich stanowi maść i wspomniane zachowanie się przy wystawianiu.

L. M.

(*Dok. nast.*).

TERRIERY I PINCZERY.

(*Ciąg dalszy.*)

2. Welsh-terrier (terrier wallijski).

Bardzo podobny do poprzedzającego, tylko znacznie mniejszy, gdyż dochodzi zaledwo 30 ctm. wysokości w łopatce. Także ma głowę więcej płaską i nieco szerszą (stosunkowo) między uszami. Maści terriery wallijskie są zawsze czarnej z podpalaniem lub siwo-czarnej także z podpalaniem, bez najmniejszych białych odmian. Na palcach i łapach nie powinno też być czarnych centek ani pręg.

3. Irish-terrier (terrier irlandzki).

Budową i uwłosieniem terriery irlandzkie są podobne do poprzedzających; różnią się od nich tem, że z obu stron szyi, od podstawy uszów aż pod gardło, szerść jest dłuższa i więcej nastroszona, tworząc rodzaj kołnierza. Na reszcie ciała szerść powinna być o tyle krótka, żeby nie zakrywała konturów, lecz, jak u poprzedzających, twarda, ostra i gładko leżąca; tylko na uszach włos jest krótszy i delikatniejszy. Terriery irlandzkie powinny być zawsze maści jednostajnej; tylko na piersiach i na palcach dopuszczają się małe odznaczenia białe; uszy też bywają zwykle nieco ciemniejsze. Najbardziej poszukiwaną maścią jest jaskrawo ceglasta; oprócz niej dozwala się maść żółta, żółto-siwa i siwa. Wzrost terrierów irlandzkich waha się między 35 i 45 centymetrami. Co do charakteru, pieski te odznaczają się wielką łagodnością względem ludzi, zachowując wspólną wszystkim terrierom, wojowniczość względem psów. Są one nadzyczajnie odważne i zawzięte; w walce z psami większemi lub innemi zwierzętami raczej zginą, lecz nie ustąpią.

4. Old english terrier (Terrier staro-angielski).

Pomimo istnienia w Anglii specyalnego klubu, mającego za zadanie podtrzymanie tej rasy, zdaje się, że wyginęła ona prawie doszczętnie, a przynajmniej mało jest rozpowszechnioną. Staro-angielskie terriery powinny budową być podobne do innych ras tej grupy; szerść powinny mieć twardą i ostrą; maść: na głowie, uszach i nogach do łokci i do kolanek czerwono- żółtą, na reszcie ciała ciemno-siwą lub czarną; wysokość od 35 do 40 cm.

5. Fox-terriery.*)

Najnowsza to, lecz zarazem i najważniejsza rasa z pomiędzy wszystkich terrierów, gdyż pieski te, nietylko tępią szczury i myszy w stajniach i spichrzach, lecz z powodzeniem służą do polowania w norach na lisy i borsuki, w czem przewyższyły nawet jamniki. Już sama nazwa wskazuje, że fox-terriery przeznaczone są głównie do wypędzania z nor lisów. Anglicy, jako jedynie godne prawdziwego myśliwego, uważają polowanie na lisy z fox-houndami. W czasie jednak pościgu zdarza się czasem, że lis kryje się w jakiejś norze, o istnieniu której nie wiedziano i nie zatkano jej. Wtedy pościg musi zatrzymać się aż do wypędzenia lisa z kryjówki; im prędzej to następuje, tem mniej czasu tracą myśliwi na oczekiwaniu. Przytem pamiętać należy, że lis, który już czuł pościg za sobą, bardzo jest trudny do wyparowania z jamy, w której się czuje więcej bezpiecznym, i zwykle w takich razach trzeba było uciekać się do pomocy łopaty, co jeszcze bardziej przedłużało nudne oczekiwanie. Anglicy więc postanowili wytworzyć rasę takich piesków, któreby gwałtownym i energicznym atakiem mogły jaknajprędzej zmusić lisa do opuszczenia schroniska, albo nawet, w ostatecznym razie, wyciągnąć go ztamtąd. Nie zapomniano przytem o jednym ubocznym, ale bardzo ważnym dla gospodarki łowieckiej, względzie, to jest, o tępieniu borsuków. Wiadomo, że te zwierzęta, atakowane w jamie, umieją bardzo zręcznie i prędko zakopywać się dalej, tworząc przez te przegrodę między sobą i psem. Jamniki, prawie wyłącznie używane dawniej do tego rodzaju polowania, nie mogły dość prędko przedostawać się przez zasypane części jamy, gdyż mają zbyt krótkie nóżki, a same są zbyt długie, żeby ziemię podgarniętą pod siebie przedniemi nogami, tylnemi podbierać i wyrzucać za siebie. Dlatego też angielscy myśliwi nie starali się ulepszyć rasy jamników, lecz trzymać się swoich terrierów i z nich starali się wytworzyć nową, odpowiadającą wspomnianym wymaganiom, rasę. Trudno jest obecnie odtworzyć receptę, podług której dokonano tej fabrykcyi, gdyż przez długi czas czyniono próby różnych krzyżowań, z których dopiero przed półwiekiem wyłoniła się nowo powstała rasa fox-terierów. Przyjąć jednak można za prawdopodobniejsze, że za główny fundament posłużyło krzyżowanie staro-angielskich i wallijskich terrierów z białemi, krótkowłosemi terrierami (o których będzie mowa w dalszym ciągu). Następnie mieszańcom tym dodano potrosze krwi fox-hounda i buldoga; tej ostatniej może przez bull-terrierów. Białe terriery przekazały nowej rasie więcej wydłużone mordy i przewagę białej maści; fox-houndy zwiększyły siłę grzbietu, a głównie nóg; nareszcie buldogi, czy bull-terriery, wzmocniły do żądanych granic muskuły i doprowadziły odwagę i zaciętość do maximum.

August Sztolcman.

(*D. c. n.*).

*) O fox-terrierach pisałem już kilkakrotnie w „Łowcu Polskim“ i „Kalendarzu myśliwskim“. Dla pełności jednak obrazu wszystkich terrierów, a także ze względu na nowych czytelników naszego pisma, zmuszony jestem powtórzyć większą część podanych już szczegółów. (*Przyp. aut.*).

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do Mongolii.

(*Ciąg dalszy*).

Przyznam się, że zimno mi się strasznie zrobiło! Ostrożniej już kładę się, zaglądam i widzę w odległości stu kroków w głębokiej rozpadlinie pod nami dwa bure niedźwiedzie tyłem do nas, zajęte pilnem kopaniem korzonków. Dużej, czarnej sztuki niema. Czekamy parę minut, czy się gdzie nie pokaże. Iwan twierdzi, że nas poczuła i zemknęła. Ja ociągam się jeszcze, ale wiatr zawiał i niedźwiedzie głowy podniosły. Dłużej czekać nie można było. Dwa strzały w zad, bo to tylko widziałem. Pierwszy na dwóch łapach przednich lezie w górę, drugi z punktu ruluje. Spuszczamy się prawie na rękach do pierwszego—żyje jeszcze. Dajemy mu *coup de grace* i zaczyna się złażenie z góry, w tem miejscu prostopadłej prawie i powstałej (brak mi słowa polskiego) z *„Schuttgestein'u“*.*) Za każdym krokiem usuwa się kamień i jedziemy, jak na łyżwach, a tu jeszcze trzeba niedźwiedzie z sobą ciągnąć. Ileśmy razy się wywrócili, ile koziołków fiknęliśmy, o temby epopeję całą napisać można. Tymczasem po naszych strzałach przyjechał z myśliwymi i końmi

*) „Schuttgestein“ znaczy usypisko skalne (*Przyp. Red.*).

Feliks. Zmęczeni, podrapani, potłuczeni, ale kompletnie szczęśliwi, przyjechaliśmy do taboru, gdzie zaraz zdjęliśmy fotografie niedźwiedzi i przystąpiliśmy do zdejmowania skóry. Ciężką tę i niemiłą robotę ledwo w trzy godziny ludzie nasi zakończyli.

Rzekłem, żeśmy powrócili szczęśliwi, tak—ale nie kompletnie, bo najładniejsza sztuka nam zemknęła, a te niedźwiedzie nieduże mierzyły: jeden 10, drugi 11 t. z. czetwerti długości. Na myśl, jaki to ładny byłby tryplet, trochę smutno mi się robiło, ale *faute de mieux* i z tego dubletu rad jestem bardzo, tembardziej, że to pierwsza grubsza zwierzyna.

W obozie głód. Próbujemy jeść niedźwiedzinę, ale strasznie chuda i bardzo niemiły ma zapach, tak, że musimy dać za wygranę.

Na wieczornem polowaniu zwierza nie widzimy, a tylko wracając, udało mi się zabić gęś i dropia. Z tego ostatniego rad jestem bardzo, bo to pierwszy mój drop, a przytem ogromnie ostrożna sztuka. Żeby się do niej na strzał zbliżyć, użyłem besarabskiego sposobu podjeżdżania w kółko, zataczając coraz mniejsze koła, tak, że podjechałem na 40 metrów, a drop przywarował. Łatwy był strzał.

Jutro jedziemy do kopalni, odległej o 15 wiorst. Trzeba załatwić korespondencye, dać do naprawy buty i kupić chleba, bo zapas zjedzony.

W kopalni poznałem Grota, który na dwa dni dla kontroli przyjechał. Proponował nam, byśmy do jego karawany się przyłączyli i razem z nim dalej jechali. Bardzo uprzedzająco uprzejmy, oświadczył, że jeżeli tylko czegoś potrzebujemy, byśmy bez ceremonii do jego zarządu się zwrócili. Obiecał przesłać nam przewodnika na Charę (rzeka w głębi Mongolii), dokąd mamy zamiar się udać. Bylibyśmy skorzystali z jego propozycyi, ale on jeździ bardzo prędko i spieszy, by obejrzeć wszystkie swoje kopalnie, my zaś dla polowania musimy po parę dni na jednem siedzieć miejscu. W kopalni również poznałem niejakiego Karnakowa. Jest to bardzo ciekawa osobistość. Pierwszy to pionjer w Mongolii. Miał rozmaite przedsiębiorstwa w Kiachcie i w Rosyi, ale na wszystkich jakoś zbankrutował, wyniósł się więc do Mongolii i *per fas et nefas* kupił i wynajmował urodzajny szmat ziemi nad rzeką Iro. Założył tam gospodarstwo, w którem wprowadza rozmaite ulepszenia, naprzykład wszelkie najlepsze maszyny, i wychodzi na niem świetnie. Gospodarstwa jego mogliby pozazdrościć niejedni najpostępowsi gospodarze Europy, np. wszystkie pola i łąki dowolnie się u niego nawadniają i osuszają. A że przytem wziął od Grota koncesyę na dostawę wszelkich produktów i na wyłączny handel w jego wszystkich kopalniach, co stanowi klientelę z 10 do 12 tysięcy robotników rocznie, zmuszonych kupować produkty po bajecznych, dowolnie przez Karnakowa naznaczonych cenach, więc obecnie jest *en train* zrobienia ogromnej fortuny.

Późno wieczorem wróciłem z kopalni, po drodze strzelałem do łabędzi, nawet bardzo niedaleko, ale skutkiem mroku wziąłem odległość 30 metrów za 200, odpowiednio nastawiłem wizyer i ma się rozumieć zgórowałem. Żałuję bardzo, bo prawdopodobnie z temi pięknemi ptakami już się tu nie spotkam.

Przez następnych kilka dni przeszkadzały nam ciągle deszcze ze śniegami, dorywczo tylko mogliśmy polować. Kóz masa, ale spotkać się z żadną z nich nie możemy. W obozie głód, bo brak mięsa, a jakoś wstyd nam, myśliwym, kupować mięso w kopalni. Od czasu do czasu kaczka lub jarząbek *plus* ostatnie puszki kawioru reparują nasze siły, a zresztą wieczna herbatka. Wracając zły z jednego z polowań, bo nic nie widziałem, spłoszyłem jarząbka, który usiadł o jakieś 30 metrów niżej mnie na drzewie. Pomnąc na brak mięsa, strzelam, jarząbek się poruszył, ale nie leci. Zawstydzony strzelam drugi raz — ta sama historya. Jednem słowem dopiero dziewiątym, wyraźnie dziewiątym strzałem, obciąłem mu nóżki i spadł. Jak się okazało, pierwsza kula zaczepiła skrzydełko i dlatego jarząbek siedział, a dopiero dziewiąta trafiła go w nóżki. W tym wypadku dowodnie przekonałem się, że nasi przewodnicy mają racyę, twierdząc, że strzelając w dół ze stromej góry, zawsze trzeba brać trochę niżej. Wszystkie moje kule szły o parę cali za wysoko, jak to po gałęziach było widać.

C. W.

(*D. c. n.*).

TĘPIENIE WILKÓW.

(*Dokończenie*).

Z gub. kieleckiej, *w lutym*.

Przeczytałem różne rady, jakim sposobem mają się pozbyć okolice nawiedzone w tym roku przez wilki, tych nieproszonych gości.

Nie sądzę, aby rady te mogły doprowadzić do pożądanego rezultatu, jakkolwiek ani myślę ujmować ich autorom znajomości rzeczy i doświadczenia w tych sprawach. Jeżeli kwestyonuję ich skuteczność, to tylko dlatego, że w miejscowości, gdzie wilków zdawna nie było, ludność jest tak nieobeznana z polowaniami na nie, że nie wydaje mi się prawdopodobnem, aby nawet najlepsze piśmienne recepty potrafił ktokolwiek w czyn wprowadzić. Trzeba bowiem nie zapomnieć, że chodzi tu o obławy na wilki przechodnie, to jest zmieniające codzień swoje legowisko. Sam w młodości uczestniczyłem w mińskiej gub., w obławach na wilki. Były one urządzane z rozmaitym rezultatem, ale polowaliśmy tylko w jesieni na wilki gniazdowe, gdzie stare padają ofiarą instynktu macierzyńskiego.

Nie pamiętam, aby kiedykolwiek nawet w tej miejscowości ryzykowano urządzać obławy na wilki w zimie. Jeżeli to mówię, to tylko dlatego, aby zaakcentować trudność takich zimowych polowań, wskutek której to trudności niepodobna nawet wymagać, aby ktokolwiek po przeczytaniu drukowanej rady, jako *ex libro doctus*, potrafił sprostać zadaniu.

Mojem zdaniem pozostaje jedyny środek właśnie ten, o którym była wzmianka w n-rze 1 „Łowca Polskiego", jako o środku zbytecznym—zawezwania specyalisty w osobie wilczarza z pskowskiej gub., który, jak to słusznie mówi autor wspomnianego artykułu, „wypędza wilka na dane stanowisko bez zawodu, za pomocą straszaków".

W zaprzeszłym roku opisywałem w „Łowcu Polskim" polowanie na niedźwiedzie i łosie w dobrach pana Piotra Wańkowicza koło Borysowa. Otóż był na niem wzięty jeden zakład na wilka, otropionego przez takiego Pskowicza, który, mając stałe miejsce przy mińskiem kółku myśliwskiem, przyjechał umyślnie przez pana Wańkowicza zawezwany, objechał na śnieżnych łyżwach (ski) las, sobie zupełnie nieznany, rozstawił nas o południu na stanowiskach w klamrę i z góry wskazał dwa stanowiska, na które wilk powinien był wyjść. Wilk stary, ogromny był faktycznie zabity na jednem z owych stanowisk.

Nie wiem, czy dotąd ów Pskowicz nie opuścił Mińska. Mógłby o tem poinformować ktokolwiek z członków mińskiego myśliwskiego kółka lub p. Piotr Wańkowicz, zamieszkały w Ślepiance (poczta Mińsk), ale gdyby ów wilczarz mógł przyjechać jeszcze za śniegu, to wydanie kilkudziesięciu rubli na sprowadzenie specyalisty byłoby, mojem zdaniem, najskuteczniejszym środkiem w tym razie.

Wł. Jelski.

Z powyższych korespondencyj wynika, że najlepszym środkiem tępienia wilków jest trucizna. Gdyby jednak ktoś nie chciał używać tego sposobu dla jakichkolwiekbądź względów, to jedynym środkiem pewnym polowania na czarnej stopie jest zadawanie przez pewien czas padliny w jednem i tem samem

miejscu, a wilki tak się tam zanęcą, że prawie napewno można je tam przyłapać. Ja sam przed kilkunastu laty uczestniczyłem w polowaniu, na którem w jednym miocie zabiliśmy 6 wilków i 2 ogromne odyńce; oprócz tego 2 wilki wyniosły się bokami. Wszystko to znajdowało się w miejscu, gdzie od dłuższego czasu stale kładziono padłe konie. Polowanie to odbyło się w dobrach Wojsławice (pow. chełmski) u hr. Franciszka Poletyły. Od tego czasu wilków w majątku tym niema zupełnie.

Jan Sztolcman.

STOLICA PELIKANÓW.

(Podług L. Robinsona).

Było to d. 8 kwietnia 1889 r. Ja i mój przyjaciel Harry opuściliśmy New York, by nareszcie przedsięwziąć wyprawę do Floridy, dawno uplanowaną. Jeszcze nie znać było wcale zbliżającej się wiosny; ostry wiatr wschodni pędził ciągle chmury deszczowe ponad ziemią szarą. Prędko jednak doczekaliśmy się odmiennego stanu pogody: następnego popołudnia w Wirginii i w Karolinie północnej uśmiechały się do nas kwitnące drzewa brzoskwiniowe; wszędzie tutaj widać było pączki, tudzież wyrastającą trawkę młodą. Przepędziliśmy jeszcze jedną noc w wagonie pulmanowskim, poczem dotarliśmy do Savannah, gdzie przyroda była w pełnej krasie pory letniej; wszędzie kwiaty i promienie słoneczne. Około południa skończyliśmy wreszcie swą podróż na dolnem wybrzeżu wschodniem Floridy, zapomnieliśmy o wiatrach wschodnich, byliśmy bowiem wśród temperatury od 80—85° Fahrenheita, czyli około 24° Reamura; jest to upał taki, że w wielu krajach uwalnia się z tego powodu uczniów od przychodzenia do szkół, co też oni wspominają chętnie, jako *beneficium caloris*. Tutaj jednak nie odczuwaliśmy wcale przykrości tego żaru słonecznego, ponieważ codziennie rano o 9 godzinie powiewał świeży wiatr morski, dający przyjemną ochłodę, a nazwany hyzem.

Cośmy tam przeszli, nie będę tu opowiadał, gdyż to nie należy do obecnego opisu. Podam tylko szczegóły z wyprawy naszej na „wyspę pelikanów".

W niedużej łodzi żaglowej wyjechaliśmy d. 16 kwietnia z ujścia rzeki Indian-River, jadąc wzdłuż wybrzeża. Mieliśmy do odbycia 12 mil drogi morskiej. Wokoło nas uwijał się istnie tropikalny świat zwierzęcy. Lśniące, srebrzyste tępogłowy (ryby morskie) potężnie unosiły się wysoko nad wodą, skacząc w różne strony i padając z pluskiem na jej powierzchnię, niekiedy tuż przy naszej łodzi. Co chwila zrywały się stada dzikich kaczek, latając nad łodzią. Mewy i orły-rybołowy krążyły w powietrzu, uderzając od czasu do czasu na rybę, która nieostrożnie wypłynęła na powierzchnię wody. Około godziny 10-ej ujrzeliśmy zdaleka pierwsze pelikany. Ciągnęły one ogromnemi, długiemi sznurami—na wzór kluczy żórawi na jesieni—od lądu stałego na wyspę, do której zbliżyliśmy się około godziny 11-ej. Ponieważ jednak wyspa była bardzo nizka i nie miała wcale wybrzeża skalistego, przeto dostrzegaliśmy początkowo tylko cienki pasek na widnokręgu. Gdyśmy już byli blizko, ujrzeliśmy dopiero zarośla, złożone z palm i innych roślin, nad któremi unosiła się niezliczona ilość pelikanów.

Zabraliśmy się zaraz do dzieła, ale bynajmniej nie do strzelania, lecz do fotografowania, bo też było na co patrzeć i co fotografować. Wyspa była równa i nizka, mierzyła zaledwie 8 mórg (2 ha), a kształt miała trójkątny, nie prawidłowy. Tu i owdzie stały skarłowaciałe grupy drzew i zarośli, przeważnie jednak rosły na wyspie trawy i zioła. Wszystko jednak było zdeptane nogami pelikanów i białe od ich pomiotu. Przed nami po prawej i lewej stronie wybrzeża widniały ławy piaszczyste, a na nich spoczywały całe armie pelikanów. Wszystkie były wielkości dużych gęsi, szare na grzbiecie, ciemno brunatne na piersiach z długą szyją brunatną o białych znakach, wszystkie miały w jednakowy sposób spuszczone na dół potężne dzioby, ze znajdującemi się przy nich workami, co nadało gromadzie wygląd wysoce komiczny.

Trzeba tu dodać, że na starym i nowym świecie istnieje dziewięć gatunków pelikana. W europejskich ogrodach zoologicznych spotyka się zwykle tylko zwyczajnego pelikana białego, zwanego Babą *(Pelecanus onocrotalus L)*. Ze wstydem muszę wyznać, że nie mogę podać nazwy zoologicznej pelikana, którego znaleźliśmy podczas wyprawy; może i nie posiada on wcale takiej nazwy. Przedstawiam jednak bardzo dokładny opis tego pelikana, doświadczony przeto zoolog sam, być może, odnajdzie nazwę naukową tego ptaka. W Ameryce północnej znajduje się jeszcze jeden gatunek pelikana, który jest biały i którego spotyka się nad jeziorami na północ od Minnesoty; ten gatunek jednak nie ma nic wspólnego z opisywanym tutaj przezemnie.

Od niepamiętnych czasów mała ta wysepka, na której obecnie przebywamy, służyła wyłącznie za miejsce do wylęgania brunatnych pelikanów. Aczkolwiek wschodnie wybrzeże Floridy posiada sto innych małych wysepek, w niczem się nie różniących od tej naszej, to jednak pelikan tylko na niej nasiaduje. Nie odstrasza go ani to, że zbójeccy handlarze piórami, corocznie w prawdziwie morderczy sposób zabijają biedne matki wylęgające, ani to, że zbieracze jaj rabują każde jajko, do którego mają przystęp; pelikan zostaje wiernym swemu miastu rodzinnemu i nie opuszcza go nigdy!

Łódź nasza się zatrzymywała, a kamery były gotowe do strzału, gdyż sądziliśmy, że teraz zerwie się całe towarzystwo! Ale nic z tego; gdyśmy już nawet wylądowali, zerwało się tylko kilka najbliższych i ociężale pofrunęły o parę kroków dalej; wszystkie samice, które siedziały na gniazdach, nie ruszały się z miejsca, dając nam zbliżyć się do siebie na kilka kroków. Ponieważ jednak chcieliśmy dokonać zdjęcia fotograficznego z latających stad, przeto z krzykiem wpadliśmy między najliczniejsze gromady; teraz dopiero zerwały się ptaki w powietrze, okrążyły nas parę razy i powróciły do swych gniazd.

Z kolei zaczęliśmy dokładnie oglądać wyspę. Większość gniazd mieściła się na piasku, jedno od drugiego było oddalone o jaki 1 m; rzadko tylko widziało się gniazda na zeschłych krzewach. Gniazda te były zupełnie podobne do gniazd bociana; zbudowane z grubego chróstu, wyścielane suchą trawą, obejmują dużą przestrzeń; natomiast gniazda na ziemi składają się jedynie ze zgarniętej kupki piasku, niewielkiego obszaru, i są również chróstem pokryte; w środku zaś znajduje się wgłębienie, wyścielane trawą.

Zawartość gniazd bywa niezwykle różnorodną. W wielu z nich leżały jaja, w innych młode, mające zaledwie jeden dzień życia, w niektórych starsze pisklęta, aż do upierzonych. Mimo że wylęganie zaczyna się już w styczniu, to jednak wiele par drugi raz powtarza wylęganie, a przeto zawartość rozmaitych gniazd była bardzo nierówna.

Jaja są bardzo duże i brudno białe; młode były zupełnie niepodobne do starych: na grzbiecie szaro-białe, na części spodniej białe.

Młode pelikany, które już były ze wszystkiem, albo prawie całkowicie opierzone, trzymały się w oddzielnych grupach, wywierając swem zachowaniem się wrażenie komiczne; zwolna krocząc, zabawiały się wydawaniem szczególnych tonów gardlanych, gdy jednak dwa z nich zaczęły z sobą walczyć, co się zdarzało dosyć często, to całe towarzystwo wszczęło wrzawę okrutną, wnet wszakże uspokoiły się znowu. Gdyśmy się zbliżyli do gniazda, znajdującego się na krzaku, a pełnego młodych, które nie mogły się oddalać, to podnosiły one na nas duże dzioby, krzycząc głośno, przeraźliwie. Nie zauważyłem jednak, żeby stare spieszyły im z pomocą.

Na szczególną uwagę zasługuje to, co nam opowiadał właściciel łodzi o karmieniu młodych. Stare łowią dla swego potomstwa ryby, zanurzając się w jeziorze lub rzece pobliskiego lądu. Aczkolwiek zdaje się, że młode znoszą głód chroniczny, to naprawdę karmią je dwa razy dziennie, raz zrana i raz wieczorem. Mimo, że woda wokoło wyspy roi się od ryb, stare nie łowią ich jednak nigdy tuż w pobli-

żu miejsca wylęgania, lecz oddalają się spory kawał. Natomiast wyrosłe młode, stając się samodzielnemi, łowią ryby w pobliżu wybrzeża. Samo karmienie odbywa się w ten sposób, że stare z wypełnionym otworem dziobowym siadają przy gnieździe, rozszerzają dziób możliwie najwięcej, a młode z wielkim zapałem zanurzają swe dzioby w tym worku karmiącym i w bardzo krótkim czasie opróżniają go całkowicie. Na szczególną uwagę zasługuje spostrzeżenie, iż karmienie gromad dorosłych młodych, o których wspomniano wyżej, odbywa się wcale nie sposobem familijnym, lecz najzupełniej na zasadach socyalno-demokratycznych. Gdy pelikan opada przy takiej gromadzie, to cała banda rzuca się na dziób otwarty, niekiedy przewracając zupełnie starą matkę; kto jest najbliżej, ten zdobywa dla siebie ryby. zdarza się jednak także, iż dwie albo trzy stare razem zjawiają się u takiej grupy. Życie rodzinne ustaje przeto zupełnie od chwili, gdy młode są już samodzielne, chociaż jeszcze nie umieją łowić ryb; następuje: „wolność, równość, braterstwo!"

Czy samce biorą udział w karmieniu i wylęganiu, nie mogę orzec stanowczo. Natomiast zadaliśmy sobie trud obliczenia możliwie dokładnego liczby mieszkańców tej wyspy. Znaleźliśmy 450 gniazd na stronie wschodniej, 512 na południowej i 14 na północnej, czyli razem 976 gniazd. Jeżeli, jak twierdzą, pelikany żyją w monogamii, to wypada, że przebywa tam 1,952 starych pelikanów. A ponieważ w każdem gnieździe znajdują się 3 jaja (raz jeden tylko zauważyliśmy cztery, i raz pięć jaj), przeto można twierdzić, że kolonia każdego roku powiększa się wdwójnasób albo w trójnasób, gdyż wiele młodych ginie marnie, a mnóstwo starych się ubija.

Nader nieprzyjemnem było ustawiczne opadanie pomiotu wodnistego od unoszących się w powietrzu, pelikanów. Straszne rzeczy! W przeciągu pięciu minut mogłoby to łatwo ugasić niejeden pożar; po czterogodzinnem pobyciu na tej wyspie wyglądaliśmy okropnie.

Powracając, musieliśmy przezwyciężyć nieprzyjemny wiatr wschodni, który wiał nam prosto w oczy. Co chwila fala uderzała, zalewając naszą łódź; żegnaliśmy się ustawicznie. Wreszcie o godzinie 11 dotarliśmy z powrotem do Oak Lodye, ziębnięci, zmokli, zmęczeni i głodni, ale nie żałowaliśmy bynajmniej wyprawy przedsięwziętej. Podobne widowisko, jak na wyspie pelikanów, widzi się tylko raz w życiu.

Jerz.

Z JURISPRUDENCYI MYŚLIWSKIEJ.

W 16 i 17 numerach „Łowca Polskiego" z 1900 r. pomieszczone były dwa artykuły o psach myśliwskich i zwyczajnych wobec prawa; w jednym z tych artykułów przytoczono dwa wyroki Rządzącego Senatu z 1894 i 1898 roku.

Z wyroków tych widać, że najwyższa Magistratura Sądowa w kraju i Cesarstwie rozróżnia psa myśliwskiego od zwyczajnego i pierwszego ochrania, a drugiego tępić pozwala.

Ponieważ, jak słusznie wyraził się Szan. Redaktor „Łowca Polskiego", sprawa psów-włóczęgów stanowi jeden z najbardziej palących momentów naszych stosunków łowieckich, przeto pozwolę sobie przytoczyć najnowszą decyzyę Senatu, zapadłą d. 23 grudnia r. z., oraz niższych instancyj sądowych w sprawie odszkodowania za zabitego w cudzym lesie psa, by lepiej wyświetlić sposób zapatrywania sądów na wspomnianą kwestyę.

Otóż obrońca Ottona Borsuka wytoczył w sądzie pokoju kijowskiej gubernii akcyę cywilną o 150 rb. przeciw leśnikowi dóbr hr. Branickiego, Zaborowskiemu, za zabicie gończego psa, który zapędził się do lasów wyżej wskazanego hrabiego z przyległej knieji Kucharskiego dominium, gdzie z psem tym polował leśnik tegoż dominium, Michał Tkacz.

Dla udowodnienia tego, że zabity przez Zaborowskiego ogar nie mógł być zaliczony do kategoryi „włóczęgów", które wolno bezkarnie zabijać, lecz był z myśliwym,—obrońca powoda załączył kopię z wyroku sędziego pokoju, którym wspomniany Tkacz był uznany jako winny samowolnego polowania w cudzym lesie, a wartość zabitego ogara, oraz to, że pies ten samopas nigdy nie włóczył się po polach i lasach, udowodnił zeznaniami świadków.

Sędzia pokoju żądane odszkodowanie zasądził. Następnie Radomyski zjazd sędziów pokoju, rozpatrzywszy tę sprawę z powodu apelacyi strony pozwanej, uznał, że zeznaniami świadków udowodniono, iż Zahorowski zastrzelił ogara, goniącego zająca w lesie hr. Branickiego bez dozoru myśliwego. Następnie, przyjmując pod uwagę, że powództwo (akcya) Borsuka wynika *ex delicto* (z występku) (art. 153 kod. kar. i 644 art. tomu X części II Zbioru Praw), zjazd rozpatrzył kwestyę: czy Zahorowski miał prawo zabić psa powoda?

Podług przepisów o polowaniu z 1871 r., obowiązujących w Królestwie Polskiem, (które całkowicie zostały pomieszczone w ustawie o gospodarstwie wiejskiem w artyk. 358 — 419, wydanej w 1903 r.) psy zwyczajne, biegające bez dozoru po polach i lasach bez sznurka i klocków, mogą być bezkarnie zabijane, myśliwskie zaś psy, z wyjątkiem wyżłów, w takich okolicznościach mogą być łapane i oddawane właścicielom za pewnem wynagrodzeniem (390, 398 art. ust. o gosp. wiejsk.).

Przepisy te jednak co do psów myśliwskich mają racyę bytu tylko w Królestwie Polskiem, gdzie takie psy są opodatkowane, zarejestrowane i przez to znane, w Cesarstwie zaś psy myśliwskie, nie będąc opodatkowane, nie są znane i zapisane; a ponieważ tępienie psów, włóczących się po polach i lasach, jest dozwolone prawem (art. 340 ust. o gosp. wiejsk.), więc podług mniemania zjazdu, każdy pies, biegający bez dozoru po cudzym lesie, o ile nie jest znany, winien być uznany za włóczęgę i przeto bezkarnie może być zabity.

Ponieważ zaś, jak udowodniono zeznaniami świadków ogar Borsuka z powierzchownego wyglądu był podobny do zwyczajnego psa i zachowywał się jak kundel, gdyż porzuciwszy trop kozy, popędził za zającem, i ponieważ powód nie udowodnił, by strona pozwana znała tego psa, jako myśliwskiego, przeto Zahorowski miał prawo zabić go i wskutek tego odpowiadać za straty, które poniósł Borsuk przez swój niedozór, nie powinien.

Na tej zasadzie zjazd decyzyę sędziego pokoju zmienił i powództwo Borsuka oddalił.

Na tę decyzyę zjazdu obrońca Borsuka wniósł skargę kasacyjną do Senatu, który 1023 grudnia r. z. na posiedzeniu sądowem uznał, że wyżej przytoczona interpretacya „psa--włóczęgi" jest niewłaściwą, gdyż jako takie, winny być uznane psy, nie posiadające właściciela, zdziczałe i samopas biegające po lasach i polach, a nie psy myśliwskie, rasowe, goniące ruszoną zwierzynę, jak właśnie było w niniejszej sprawie.

Wskutek tego Rządzący Senat postanowił: decyzyę Radomyskiego Zjazdu Sędziów pokoju w rzeczonej sprawie, z powodu niewłaściwego tłómaczenia artykułu 340 ust. o gosp. wiejskiem, uchylić i sprawę dla ponownego rozpatrzenia przesłać do Radomyskiego Zjazdu Sędziów pokoju II-go oddziału.

Z przebiegu wyżej przytoczonej sprawy widać, że władze sądowe różnie tłómaczą definicyę „psów-włóczęgów" *(brodiaczyja sobaki)* i prawo obchodzenia się z nimi, najwyższa jednak instancya sądowa, jak w poprzednich decyzyach, tak i w niniejszej, stale stoi po stronie psów myśliwskich i chroni je od tępienia.

Ponieważ decyzye Senatu dla władz sądowych są wyjaśnieniem i do pewnego stopnia obowiązującem uzupełnieniem niewyraźnych definicyj prawa, przeto na decyzye te należy powoływać się w Sądach, gdy wypada bronić naszych przyjaciół i niezbędnych pomocników miłego nam sportu. *Kazimierz Pruski.*

Ze stosunków łowieckich w Japonii.

a) Zwierzyna.

Świat zwierzęcy wysp japońskich stosownie do ich położenia, bardzo wydłużonego, dzieli się na trzy odlamy w różnych obwodach geograficznych: wyspy, bardziej na północ wysunięte, należą do podstrefy syberyjskiej albo do północno-europejskiej strefy polarno-arktycznej; środkowa Japonia należy do podstrefy mongolskiej tejże strefy powyższej; część zaś, bardziej na południe wysunięta,—do strefy wschodniej, a mianowicie do podstrefy indo-chińskiej.

Charakterystyczną dla Japonii zwierzyną są: niedźwiedź *(Ursus)*, małpa *(Inuus speciosus)*, pies swoisty *(Nyctereutes viverrinus)*, pewien rodzaj borsuka, dzik jeleń *(Cervus Sika)*; z ptaków: bażanty, których tu spotykamy dwa gatunki: bażanta różnobarwnego *(Phasianus versicolor)* i bażanta Soemeringa *(Ph. Soemmeringi)* *) Jeleń *(Cervus Sika typicus)* należy do tej samej grupy niewielkich, chińsko-mandżurskich jeleni, co i jeleń Dybowskiego *(CervusDybowskii)*. Jeleń Sika posiada piękne, ale niezbyt bujne rogi, a waga jego dochodzi do 180 funtów angielskich (mniej więcej waga dobrego daniela). Ciało pokrywa ciemno-brunatny włos, a na bokach widoczne są białe centki.

Kur, kaczek i gołębi jest bardzo dużo; ptaków śpiewających—mało. Istnieje tam osobny gatunek słowika japońskiego, zwany Unguisu *(Cettia cantans)*. Często się spotyka psy (a między niemi małe pieski myśliwskie, kudłate i karłowate), koty o małych ogonkach i króliki. Japonia obfituje w bawoły, niedźwiedzie i wilki, ptastwo swojskie i dzikie. W wodach żyje mnóstwo wielorybów. Lasy obejmują 11,865,643 *choba***) miary japońskiej, w czem 5,259,201 należy do rządu, a 6,606,412 do osób prywatnych.

Niedźwiedź japoński nie jest bynajmniej postrachem ludności. Świadczy o tem poniekąd przygoda, o której wspomina w swej podróży Huebner. Na jednej z górskich wycieczek niosło go kilku wesołych kulisów, gdy wtem stawiają „Kango" na ziemię i gonią z dzikim wrzaskiem w jedną stronę. Cóż się stało? Ujrzeli niedźwiadka i w kilka minut przywlekli go z sobą, ubiwszy poprostu drągami bambusowemi.

Paweł książę Sapieha, obecny poseł do parlamentu w Wiedniu, zwiedzając osadę Ainosów na wyspie Jeso, spotkał się także z dwoma niedźwiadkami, ale te były w klatkach z chrustu zamknięte. Niedźwiadki te — pisze książę Sapieha— to dwie czczone i wielce pielęgnowane istoty, niemniej jednak na śmierć przeznaczone. Zwyczaj każe, żeby niedźwiadka karmiła własnem mlekiem jedna z niewiast dopóty, dopóki „miś" zbyt silnym się nie stanie; skoro zaś to nastąpi, duszą biedaka wśród okazałej ceremonii. Matkę jego, a raczej mamkę, zdaje się, na pocieszenie, okładają paru kijami, poczem śród niezliczonych libacyj z wódki japońskiej, spożywają najspokojniej mięso niedźwiadka, łeb zaś wywieszają na drągu i składają mu ofiary.

Jest to zabytek pierwotnego fetyszyzmu, w którym niedźwiedź odgrywa tę niepoczesną rolę.

Polowanie na małe zajączki japońskie nie przedstawia żadnego interesu myśliwskiego i nie należy do sportu, w którymby się lubowali Japończycy. O wiele ciekawszą jest okoliczność, że jeszcze podziśdzień, jak w rycerskiej Europie przed wiekami, kwitnie w Japonii polowanie z sokołem.

Zajmujący opis takiego polowania daje w swej relacyi podróżnej książę Sapieha. We wspaniałej łodzi w towarzystwie trzech mniejszych czółenek, polował z sokolnikami cesarskimi na ptactwo wodne.

Raniutko — pisze książę Paweł Sapieha — ruszyliśmy z domu powozami o dwie i pół mili od Tokio Ranek cudowny zapowiadał piękne łowy. Po półtoragodzinnej jeździe stanęliśmy nareszcie na miejscu zbornem. Tu czekały nas sokoły, przez wielkiego mistrza ceremonii i wielkiego łowczego koronnego przysłane nam najłaskawiej na to polowanie.

Każdy sokół siedział osobno na pięknej macie, zawieszonej na drążku, poprzecznie na dwóch innych drążkach leżącym. Każdy był przywiązany jedwabnym, ponsowym sznurem w dwie strony. Nie zakrywają im łebków, jak dawniej w Europie, tylko na nogi kładą skórzane pęta, do których ów jedwabny sznur bywa przymocowany. W chwili puszczenia sokoła, odwiązuje się ten sznur, a sokół z pętami wzlatuje. U nasady ogona, czyli u „wachlarza", przymocowany jest raz na zawsze dzwonek w tym celu, by łatwiej w krzakach lub sitowiu odnaleźć sokoła. Jednemu tylko, największemu gatunkowi sokołów, używanemu do polowania na grubszą zwierzynę, a biorącemu, jak zapewniają Japończycy, w pojedynkę zająca, zakładają, podobnie jak u nas, kaptur na głowę. Rezultat polowania był świetny.

K.

b) Prawo myśliwskie w Japonii.

Niktby nie przypuszczał, że Japonia, kraj niby to na pół dziki, posiada prawo myśliwskie, wzorowane widocznie na ustawach europejskich. Szybki postęp, jaki państwo to zrobiło na drodze cywilizacyi, odbił się też i na gospodarce łowieckiej.

Do niedawna myślistwo, jako rozrywka, stanowiło w Japonii przywilej szlachty; lud poświęcał mu się o tyle tylko, o ile znajdował w niem środek zaspokojenia potrzeb życiowych. Polował wtedy każdy, kto chciał i gdzie mu się żywnie podobało, a terminów ochronnych nie było wcale. Pierwsze prawo łowieckie ukazało się dopiero w 1873 roku, ograniczając czas polowania od 1 listopada do 31 marca, a jednocześnie ustanawiając pozwolenia myśliwskie w wysokości 1 yena (około 2 rubli) dla profesyonistów i 10 yenów — dla amatorów. Prawo to uległo kilkakrotnym zmianom, aż póki w roku 1892 nie ogłoszono edyktu cesarskiego, nakazującego wprowadzenie nowej ustawy łowieckiej, wzorowanej widocznie na prawach europejskich.

Rozdział pierwszy tej ustawy traktuje o przyrządach i sposobach polowania. Widzimy z niego, że oprócz polowania z bronią palną, dozwolone są łowy z sokołami, a także używanie wnyków i lepu. Wszelako ministrowi handlu i rolnictwa pozostawia się prawo ograniczenia użycia któregokolwiek z tych sposobów.

Polowania z bronią palną zabrania się od zachodu do wschodu słońca, a także w miastach i wogóle w miejscach, gdzie się zbiera większa ilość ludzi. Nie wolno jest też strzelać w kierunku mieszkań ludzich, statków lub pociągów kolei żelaznej. W tym punkcie ustawy wyszła na wierzch drobiazgowość azyatycka, gdyż łatwiej było powiedzieć, że wogóle nie wolno jest strzelać w kierunku bliźniego swego, lub wprost uczynić odpowiedzialnym strzelającego za wszelkie szkody, zrządzane na niekorzyść osób postronnych.

Jan Sztolcman.

(Dok. nast.)

*) *Patrz* C. Cronau. Bażant łowny.

**) *Chobo*=około 2 morgów.

OKÓLNIK

P. Gubernatora Lubelskiego, z d. 3 lutego 1904 r. za № 871 do pp. Naczelników pow.

Sądząc z danych, dostarczonych przez Naczelników powiatów o działalności organów straży ziemskiej w gubernii w tępieniu klusownictwa i potajemnego utrzymywania broni palnej, winienem ją uznać za bardzo pomyślną, z czego należałoby przypuszczać, że rezultat tej działalności powinienby wpłynąć na zmniejszenie ilości potajemnie utrzymywanej broni i wytępienie choć w części klusownictwa. Tymczasem z roku na rok jak jedno tak i drugie nietylko nie zmniejsza się lecz, przeciwnie, zwiększa, a wypadki jawnego klusownictwa po cudzych polach zdarzają się coraz częściej i mnożą się, przytem sposób, w jaki się to odbywa, staje się coraz czelniejszy i dochodzi do tego, że częstokroć stającym na przeszkodzie brakonierzy grożą bronią, a były nawet przykłady, że klusownicy pogróżki swoje wprowadzali w wykonanie, jak zabójstwo starszego strażnika ziemskiego, żółkowskiego oddziału w pow. krasnostawskim.

Przypuszczam, że to anormalne zjawisko niewątpliwie pozostaje w związku z tem, że straż ziemska tak z powodu nielicznego jej składu, jak i różnorodności zajęć, nie jest w stanie znać na całym wielkim obszarze okręgu swojej działalności wszystkie osobistości, utrzymujące broń potajemnie, zajmujących się klusownictwem i łowieniem zwierzyny wzbronionemi przez prawo sposobami, wskutek czego straż ziemska prześladuje tylko te z nich, które zdoła pochwycić na gorącym uczynku spełniania przestępstwa, lub te, co do których otrzyma wskazówki od osób prywatnych.

Nie ulega wątpliwości, że organy miejscowej policyi wiejskiej, oraz wójci gmin, znając dobrze wszystkich współmieszkańców swych wiosek, mogliby skutecznie w danym wypadku dopomódz straży ziemskiej i współdziałać z nią w tępieniu tajnego utrzymywania broni i brakonierstwa, gdyż wiedzą oni dokładnie, kto we wsi utrzymuje broń potajemnie, kto zajmuje się reparacyą broni, kto uprawia klusownictwo i kto zajmuje się nieprawnie handlem zwierzyny. Wypadki, w których straż ziemska otrzymuje potajemne informacye od wójtów lub sołtysów w tym względzie, są bardzo rzadkie, wyjątkowe prawie.

W celu skłonienia wójtów gmin i sołtysów do dopomagania straży ziemskiej w powyżej wyłożonej jej działalności, proszę pp. Naczelników powiatów wydać rozporządzenie, aby powiadomiono wszystkich wójtów i sołtysów, że za zaniedbanie współdziałania w tym kierunku straży ziemskiej, w każdym wypadku wykrycia przez organ straży ziemskiej, potajemnie utrzymywanej broni i klusownictwa, będą pociągani do odpowiedzialności według prawa, zobowiązując przytem organa straży ziemskiej do doniesienia swojej zwierzchności o każdym wypadku zaniechania okazania im współdziałaniu przez policyę wiejską.

Jestem przekonany, że pp. Naczelnicy powiatów zastosowawszy energicznie wskazane środki, osiągną w zupełności pożądane rezultaty, znacznego zmniejszenia ilości wypadków potajemnego utrzymywania broni, a głównie klusownictwa i pogwałcenia przepisów o polowaniu.

(podpisano) Gubernator *Tchorzewski.*

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 2 marca. Główne Towarzystwo zawiadamia nasz Oddział, że termin Ogólnego Zebrania członków Towarzystwa w Moskwie wyznaczony został na dzień 15 (28) marca r. b. Na Zebraniu tem rozpatrywaną będzie sprawa zmiany ustawy i organizacyi Towarzystwa i jego Oddziałów. Projekt tych zmian nadesłano naszemu Oddziałowi, żądając poczynienia odpowiednich uwag i nadesłania całego operatu do Moskwy przed Ogólnem Zgromadzeniem, oraz przesłania delegatów Oddziału na Ogólne Zebranie do Moskwy. Opracowanie rzeczonego operatu poruczono pp. Blumentalowi, Szteldemanowi, Paszkowskiemu i Wysockiemu. W imieniu Oddziału uda się do Moskwy p. Blumental, oraz jeden z członków Komisyi, zaproszonej do opracowania uwag nad projektem.

P. Adolf Korsak zażądał, aby na najbliższem Ogólnem Zebraniu postawić wniosek o ustanowieniu najmniej tygodniowego, przed Ogólnem Zebraniem prekluzyjnego terminu na składanie list kandydatów na urzędy. Sprawa ta dotychczas nie jest u nas uregulowana, a pojawianie się list niespodziewanych w ostatniej chwili, już na Zebraniu wyborczem, źle wpływa na rezultaty wyborów.

Wskutek starań Rady pp. gubernatorowie wydali okólnikowe polecenia do pp. naczelników powiatów, aby zawiadomili wójtów i sołtysów, że karani będą za niedoniesienie władzy o posiadaniu broni bez ustanowionych biletów przez włościan, w ich wsi zamieszkałych, oraz za niedoniesienia o bezprawnem polowaniu przez włościan, niemających odpowiedniego pozwolenia. Rada otrzymała dotychczas zawiadomienia o tych obostrzeniach od pp. gubernatorów: warszawskiego, lubelskiego, łomżyńskiego i suwalskiego. Na innem miejscu przytaczamy w całej rozciągłości okólnik p. gubernatora lubelskiego. Ważne to zarządzenie dla krajowego zwierzostanu i jeśli tylko rozporządzenie to bacznie będzie przestrzegane, wiele dobrego po niem spodziewać się można.

Rząd gubernialny lubelski, jako kandydata do nagrody w postaci zegarka za gorliwe działanie w celach myśliwskich przedstawił starszego strażnika zwierzynieckiej komendy, zamoyskiego pow., Szewczuka, którego Rada będzie miała na uwadze przy rozdziale tych nagród.

Posiedzenie Rady, 9 marca. P. gubernator płocki zawiadamia, że wydał okólnikowe rozporządzenie co do odpowiedzialności sołtysów w razie niedoniesienia władzom o utrzymywaniu bezprawnie broni przez włościan.

P. Oberpolicmajster zawiadamia o wydaniu pozwolenia na broń Członkowi Oddziału, p. Kosteckiemu.

Jako delegaci naszego Oddziału na Ogólnem Zebraniu Głównego Towarzystwa pojadą do Moskwy pp. Blumental i Wacław Paszkowski.

P. gubernator siedlecki nadesłał wykaz broni odebranej przez straż ziemską gub. siedleckiej. Wykaz ten obejmuje 380 strzelb. Postanowiono przesłać na nagrody dla straży 190 rubli.

Drobiazgi myśliwskie.

Wiosna się zbliża. Jeden z naszych prenumeratorów, zamieszkały w Końskich, komunikuje nam łaskawie, że d. 28 lutego wieczorem, słyszał głosy przelatujących dzikich gęsi, a w d. 5 marca w samo południe widział pliszkę siwą *(Motacilla alba).* Nadto z Willa-

nowa donoszą nam, że obserwowano tam skowronki śpiewające w d. 8 marca, a czajki w d. 11 marca.

Z powodu wystawy psów. Do prasy codziennej od czasu do czasu zabłąka się jakaś wiadomość z dziedziny myślistwa i jakkolwiek częstokroć jest ona, wyrażając się grzecznie... nieściśle zgodna z prawdą, tula się po szpaltach pism naszych, odziana w sensacyjną szatę. Czasem pojawią się dublety... na śniegu, to znów gronostaj zaliczony zostanie do nadzwyczajnych wybryków naszej fauny i t. p. Nie mamy bynajmniej zamiaru urządzać specyalnych naganek na te upiory dziennikarsko-myśliwskie, o ile nie przynoszą nikomu szkody, niekiedy jednak wiadomości te wymagają sprostowania. W ostatnich czasach pojawiła się wiadomość, że nasz Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa urządza w roku bieżącym „Wystawę psów i kotów". Że Oddział urządza wystawę psów, to prawda, o czem zresztą już pisaliśmy, ale owe koty na wystawie psiej — to już humorystyka. Może o kociej wystawie myślą jakie poczciwe stare panny; myśliwi udoskonaleniem rasy kotów zajmować się nie będą. I ładnie wyglądałaby wystawa, na której wystawionoby razem psy i koty! To pomysł, który autor owej wiadomości powinienby sobie opatentować, ale w żadnym razie nie wolno mu narzucać go naszemu Towarzystwu myśliwskiemu, w łonie którego podobne absurdum począć się nie może. Notatkę tę kreślimy dla uspokojenia przyszłych wystawców, którzy mogliby się zniechęcić do przedstawiania swoich okazów, gdyby na chwilę uwierzyli w prawdziwość podanej o tej wystawie, wiadomości. Pies z kotem nie godzi się w życiu i my też nie będziemy godzili ich na wystawie.

Broń Ainów w Warszawie. Znany pisarz, Sieroszewski, który zbadał życie Ainów, ludu tubylczego z Japonii, stwierdził, że oni prowadzą przeważnie żywot myśliwski i od czasu do czasu korespondują ze światem zaziemskim przy pomocy niedźwiedzia, któremu, przed zabiciem go, powierzają swoje troski i pretensye do swych przodków. Z kolekcyi, zebranej przez podróżnika i pisarza polskiego, która ma być wystawioną niezadługo w Warszawie, najbardziej zapewne zaciekawi myśliwych zbiór broni Ainów, przywieziony z Japonii.

Pistolet własnej roboty. W ubiegłym miesiącu we wsi Jeziorna, pod Warszawą, 14-letni syn robotnicy fabrycznej, Leon Francuz, bawiąc się „pistoletem swej własnej roboty", jak piszą dzienniki, wywołał wystrzał, który go na miejscu trupem położył.

Obrazek myśliwski. Franciszek Eismond wystawił w Towarzystwie Zachęty scenę z życia myśliwskiego p. t. „Przed zdobyczą". Gajowy przyniósł z kniei ubitego lisa i opowiada widocznie gospodyni dzieje tej myśliwskiej wyprawy; a pies tymczasem nie spuszcza oka z leżącej na ziemi „zdobyczy", jakby się obawiał, że przebiegły lis udaje tylko nieboszczyka, a za chwilę machnie kitą i pójdzie na pola i lasy.

Dowóz saren. Do handlów w Warszawie zaczęto nadsyłać sarny, bite w gub. wewnętrznych Cesarstwa. Sarny przywożone odróżnić można po gęstszej, dłuższej i twardszej szerści.

Wypadek na polowaniu. Z Port Angeles w stanie Waszyngtonu donoszą, że polujący w okolicy tego miasta, sportsmen niemiecki, baron Marcin von Schlesser, został zabity przez niedźwiedzia.

Wywóz ptactwa. W gub. połtawskiej powstało towarzystwo współdzielcze, eksportujące zagranicę ptactwo. Na jednem z posiedzeń kijowskiego towarzystwa rolniczego ma być podniesioną sprawa utworzenia spółki do wywozu ptactwa, czem się obecnie zajmują przekupnie żydowscy.

Stosunki łowieckie w Mandżuryi. Ze zwierząt dzikich są tam tygrysy nadzwyczajnej wielkości, czarne niedźwiedzie, wilki, dziki, lisy, jelenie, antylopy, sobole, kuny i gronostaje. Futra tych zwierząt stanowią bardzo ważny artykuł wywozowy. Z nader licznych ptaków zasługują na szczególną uwagę skowronki mandżurskie (*Melanocorypha mongolica*), których znaczną liczbę wywozi się do Chin północnych, gdzie są bardzo poszukiwane.

Dzikie zwierzęta znajdują przytułek i ochronę w ogromnych lasach dziewiczych, w których można iść godzinami, nie dostrzegając nigdzie blasku słonecznego z powodu drzew licznych. Ludność utrzymuje się przeważnie z polowania, do czego teren mandżurski nadaje się doskonale. Łowiectwo jest wogóle w Mandżuryi zajęciem, uświęconem przez wieki, rodzajem kultu, o czem świadczy przysłowie mandżurskie: „kto nie poluje, nie wierzy w bóstwo". Pomimo bardzo rozpowszechnionego myślistwa po całym obszarze Mandżuryi, spotyka się tam ciągle w głębi lasów mnóstwo dzikich zwierząt, które zdają się mnożyć z dniem każdym. Lampart królewski, którego długość wraz z ogonem wynosi około pięciu łokci, nazwany przez krajowców *Par*, rzuca się często na ludzi, a nieraz odwiedza zuchwale ulice miast i osad. Oprócz drogich futer soboli, mieszkańcy Mandżuryi zbierają skrzętnie rogi jeleni przed oczyszczeniem ich ze skóry, zwanych tam *pantami*. Rogi takie odcina się od głowy jelenia zaraz po zabiciu, służą one chińczykom, jako lekarstwo, w rodzaju „eliksyru życia". Z tego też powodu rogi takie są bardzo drogie; cena ich dochodzi do dwustu rubli i więcej za jeden róg.

Siła węchu. Badacz angielski, dr. Mac Pharson, napisał w jednej z gazet angielskich zajmujące studyum o sile węchu, rozpatrując głównie niezwykłe objawy siły węchu u psów myśliwskich. Z licznych doświadczeń autora, wnioskuje on, że u handlujących perfumami siła węchu jest tak wielka, że odróżniają niektóre perfumy w mieszaninie 1 : 80.000, podczas gdy przeciętna dama, perfumująca się, odróżnia tylko do wysokości 1 : 50,000. Ludzie, zdaniem Pharsona, odczuwają węchem obecność kwasu pruskiego, gdy on nawet jest zmieszany z dwoma milionami części wody, czego rozpoznać nie może chemia przy użyciu najsilniejszych środków swoich. Zajmujący jest zmysł węchu u owadów i robaczków: jeżeli zamkniemy samiczkę z gatunku owadów, zwanych „*Saturnis Carpini*", w pudełeczku, to samczyki tegoż gatunku znajdą ją letnią porą, gdy nawet pudełko będzie stało w odległości mili angielskiej.

Największą jednak siłę węchu posiadają psy. Dr. G. J. Remanes opowiada, że jego pies szukał go często, odnajdując zawsze przy pomocy obwąchania piasku, po którym pan kroczył. Nie mógł go jednak odnaleźć, gdy zmienił umyślnie buty, kładąc obuwie obcego człowieka, albo przylepiając do podeszew własnych kawałek papieru; w razie rozerwania się części papieru, pies odnajdywał pana. Jeżeli pan nosił tylko pończochy, albo szedł boso, nie znajdował go, co jest dowodem, że pies kierował się wonią obuwia. Pies wogóle wie o obecności człowieka, znajdującego się w promieniu 200 metrów. Ludzie nawpół dzicy mają również nader silny zmysł węchu. Murzyni czują po ciemku obecność człowieka białego w lesie podczas nocy. Znamienny jest także zapach niektórych przedmiotów: piżmo naprzykład, czuć cały rok w domu, w którym było zaledwie kilka minut.

Pierwsze okapi. Przed trzema niespełna laty wielkie zajęcie wywołało odkrycie w Afryce środkowej przez przyrodnika angielskiego, Harrego H. Johnstona, nowego zwierzęcia ssącego, zwanego przez tubylców „okapi", a przypominającego żyrafę i zebrę. Johnston zwierzęcia tego nie widział, ale zdołał odtworzyć jego kształty na podstawie skór, jakie od krajowców kupił. Dopiero teraz nadchodzi wiadomość, że w państwie Kongo, bawiący nad rzeką Iturii, badacz, dr. David z Bazylei, zdołał upolować w końcu roku zeszłego pierwszy egzemplarz tajemniczego zwierzęcia. Tak więc zoologia posiadać będzie teraz rzeczywisty wizerunek okapi, nie na domysłach oparty.

Ptaki polarne w Tyrolu. Zima musi być pod biegunem niezwykle srogą, bo nawet jemiołuchy (*Bombicylla garula*), które stale tam przebywają, nie

mogąc wytrzymać okropnych mrozów, wywędrowały z ojczyzny lodów i śniegów aż do południowego Tyrolu. W górach w pobliżu Trydentu widziano w tych dniach całe gromady tego ptactwa. Jest to „curiosum“ niebywałe.

Pies w roli wilka. W okolicach Sainte-Hélène i Saint-Laurent-Saint-Julien (w poludn.-Francyi) zjawił się jakoby wilk, który zaczął czynić ogromne szkody pomiędzy miejscowemi owcami. Wiadomość o tem szybko rozeszła się przez pośrednictwo prasy. Nareszcie szkodnika ubito, lecz okazało się, że była to suka owczarska na zlężeniu, która, uciekłszy z domu, zdziczała zupełnie.

Ostatnie polowanie na bawoły. Oto odbyło się ostatnie prawdopodobnie polowanie na bawoły przez indian terytoryalnych. Nie miało ono dzikiego uroku wielkich polowań w wiekach ubiegłych. Bawoły, spędzone na fermę, były wypuszczone następnie i na odległość mili ścigane przez 50 indyan, uzbrojonych w łuki i strzały. Ten, kto pierwszy przyniósł język bawołu, otrzymał znaczną nagrodę. „Kansas City Journal“ dodaje szczegół: polowanie było urządzone tak, by tysiące widzów mogły się mu przypatrywać. Chyba nieboszczycy indyanie Seminolowie przewrócili się z oburzenia w swych grobach!

Stracenie słonia. Według wiadomości z gazet amerykańskich, w New-Yorku wychodzących, został stracony olbrzymi słoń „Topsy“ w zwierzyńcu w Conny-Island, ważący 80 centnarów, w obecności 1500 widzów. Ponieważ w ostatnich dwóch latach stratował trzech dozorców i z każdym dniem był coraz więcej niebezpieczny, postanowiono go uśmiercić. Aby śmierć jego była pewniejszą, użyto trzech sposobów zabicia, a mianowicie: elektryczności, uduszenia i trucizny. Przewodniki elektryczne zawieszono słoniowi u nóg, pętlicą związano szyję, a koniec pętlicy był nawinięty na wałek u maszyny parowej, truciznę zaś podano w postaci dużych okazów marchwi, ulubionego przysmaku słonia, nasyconych 400 gr. cyankali „Topsy“ marchew zjadł z lubością i do 15 minut nie spostrzeżono skutków działających. Puszczono więc prąd elektryczny o 6600 woltach i te w ciągu kilku sekund jakby od pioruna powaliły słonia-olbrzyma. Widowisko to odbyło się, jak wyżej wspomnieliśmy, z udziałem 1500 osób, które za wstęp płaciły po 10 dolarów, przyniosło więc to widowisko 15000 dolarów, czyli 30000 rubli. Niech żyje pomysłowość yakeesów! Osiągnięta kwota aż nadto wystarczyła na nabycie nowego słonia do zwierzyńca!

Zasłona przed komarami. Myśliwi chyba najlepiej wiedzą ze smutnego doświadczenia, jak straszliwie dokuczają komary przed wieczorem w lasach. Owady te często poprostu przeszkadzają w najważniejszej chwili, gdy będąc na stanowisku, chcemy wymierzyć do przebiegającej zwierzyny, a tu chmara brzęcząca opada twarz, uszy, ręce i uniemożliwia działanie przytomne. Ludzie radzą sobie, jak mogą, kurzą cygara, choć wcale nie chcieliby palić w tej chwili. Lecz oto dochodzi wiadomość, że niemiecki kapitan marynarki, von Levetzow, wynalazł i opatentował kapelusz myśliwski z osłoną przed komarami. Kapelusz ten jest obecnie bardzo rozpowszechniony na Szlązku, szczególnie w ostatnich czasach, gdy wskutek wylewów i powodzi namnożyły się komary na wilgotnych gruntach. Wprawdzie i poprzednio były tego rodzaju kapelusze z osłonami, przy których robiono niekiedy otwory dla oczu i ust, ale nowy kapelusz posiada tę wyjątkową zaletę, że nadzwyczaj łatwo, za lekkiem dotknięciem, zasłona się podnosi, opada lub zatrzymuje na połowie twarzy. Co ważniejsze, zasłona jest tak cienka i przezroczysta, że nieprzeszkadza wcale przy strzelaniu, a mimo to najzawziętszy komar przez nią nie ukąsi człowieka.

Strażnik: Czy nie wiesz pan, że o tej porze nie można bić zajęcy?

Myśliwy niedzielny: A kto panu strażnikowi powiada, że ja zabiję zająca?

* * *

Z ornitologii. — Jak się nazywa stworzenie, które gwiżdże, szybko łazi i skacze?

— Nadkonduktor na kolei, panie profesorze.

* * *

Menażerya prezydenta. Prezydent Roosevelt jest wielkim „amatorem“ dzikich zwierząt i w Białym Domu utworzył menażeryę. Ze swej wycieczki po Stanach, przedsięwziętej latem, przywiózł kilka niedźwiedzi, mnóstwo orłów, dzikich kotów i t. p. Niedawno przysłano mu z Florydy węża-okularnika i z Pensylwanii — rysia. Waszyngtońska „Star“ doniosła o tem w rubryce wiadomości z Białego Domu. Po długim opisie zwierząt, uwiadamia pod tym samym tytułem: „Zbiory zoologiczne prezydenta zwiększają się! Senator Platt został wezwany; kilku członków gabinetu przybyło na naradę; sekretarz Hay przedstawił prezydentowi, przybyłego z Panamy generała Reyes...“

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

Monte Carlo.

VIII-y championat. Ustanowiona przed 21 laty, a rozegrywana co trzy lata pula na championat w strzelaniu do gołębi, odbyła się w d. 28 lutego, 1 i 2 marca przy współudziale 63 strzelców, reprezentujących 10 różnych narodowości. Między strzelającymi znaleźli się prawie wszyscy mistrze, jak np. pp. Schianini — zwycięzca tegorocznego *Grand Prix du Casino*, dalej Pellier Johnson, Journu, hr. O'Brien, Moncorgé — zwycięzcy lat poprzednich, wreszcie pp. Roberts, Mackintosh, Brasseur, de Gillès, baron de Tavernost, bar. de Montpellier, Paul Lunden i inni.

Warunki tego konkursu są następujące: 25 gołębi na 27 metrów—kto zabije najwięcej. Zwycięzcy championatu i lat poprzednich strzelają na 28 m. I-ą nagrodę 11,800 fr. i tytuł championa zdobył Anglik, pan Roberts, zabiwszy 24 na 25 gołębi. Drugą i trzecią nagrodą w sumie 3,575 fr. podzielili się pp. Mackintosh (Anglik) i hr. Keglevitz son. (Węgier), mając po 22 na 25 gołębi. O czwartą nagrodę (800 fr.) rozstrzeliwali się pp. Journu, Turra, Demonts i Thonier, mający po 21 na 25 gołębi. Przy drugim turze zwyciężył p. Journu (Francuz), biorąc czwartą nagrodę.

Tegoroczny zwycięzca, pan Roberts, jest weteranem montecarloskiej mety, gdyż od 21 lat stawał regularnie co roku do *Grand Prix.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stałemu prenumeratorowi. Nie wiemy i wogóle wątpimy, czy Szanowny Pan będzie mógł gdzie dostać żywych pardw *(Lagopus albus).*

P. W. z W. Tytuły i ceny znajdzie Pan w dziale ogłoszeniowym w Nr. 3 z r. b.

Treść Nr. 6 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

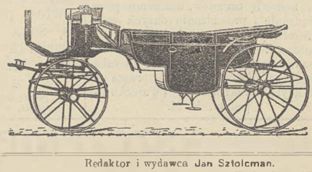
Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.



Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Марта 1904 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa. Nowy-Świat 41.